

„Choć czas jak rzeka, jak rzeka płynie...”

„...unosząc w przeszłość tamte dni”. Ta piosenka Czesława Niemena zawiera w sobie nutę nostalgii, jaka wiąże się ze świadomością upływającego czasu. Upływ czasu odczuwa się intensywniej w różnych momentach życia, ale szczególnie, bo przeżywaną wspólnie, chwilą, gdy czujemy niemalże namacalnie, jak mija czas, jest przełom roku. Właściwie jest to dokładnie taka sama data w kalendarzu, jak każda inna, a mimo to jej przeżywaniu towarzyszy niezwykle silny akompaniament emocjonalny. Jest on z jednej strony podsycany wspomnieniami o tym, co pozostawiamy za sobą, z drugiej zaś jakimś poczuciem i przekonaniem, że oto mamy do dyspozycji nowy czas. Trzymany w ręku zupełnie świeży, jeszcze nie zapisany kalendarz z jego wieloma pustymi kartkami zdaje się nas upewniać, że oto teraz będziemy mieli tego nowego czasu znacznie więcej, niż mieliśmy go w starym roku.

Stosunek do upływającego czasu ma niemały wpływ na jakość całego naszego życia. Człowiek może całkowicie tkwić umysłem w przeszłości, bądź to próbując wyprzeć ze świadomości swoje porażki i traumatyczne przeżycia, bądź też tęskniąc do „starych dobrych czasów”, które w idealizującej przeszłość pamięci nabierają niemalże rajskich kształtów. Może też cały zatopić się w przyszłości, albo się jej panicznie obawiając, albo też przesuwając na nieokreślone „jutro” wszystko to, co wymagające i obiecując sobie, że kiedyś na pewno nadejdzie chwila, kiedy człowiek pokaże się światu od najlepszej strony. Obydwie postawy mają jedną wspólną wadę: odwracają uwagę od teraźniejszości i zabierają siły i energię, które są niezbędne, by godnie kształtować to, co tu i teraz.

Wiele antycznych, ale i część współczesnych religii świata zakłada kolisty model historii, a tym samym podobny model upływu czasu. Historia zatacza wielkie koło, wracając co jakiś czas do punktu wyjścia. Tego typu wyobrażenia znajdziemy wprawdzie także w Starym Testamencie: „To, co było, jest tym, co będzie, a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie: więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem” – powiada mędrzec Kohelet (Koh 1, 9). Jednak nie jest to główny nurt myślenia biblijnego.

Dla chrześcijanina czas jest niezwykle kosztownym darem Boga, darem udzielonym wprawdzie obficie, ale jednocześnie niepowtarzalnym, jednorazowym. Jezus udzielił swoim uczniom bardzo istotnej wskazówki odnośnie do ich postawy wobec upływającego czasu: „Nie

troszczcie się [...] zbytnio o jutro, bo jutrzejszy dzień sam o sobie troszczyć się będzie. Dosyć ma dzień swojej biedy” (Mt 6, 34). Jest to zaproszenie do mądrego skoncentrowania się na teraźniejszości. W pewnym sensie można powiedzieć, że jest to chrześcijańska wersja postawy, którą rzymski poeta Horacy ujął w maksymie *Carpe diem* – chwytaj (tzn. wykorzystaj!) dzień. W odróżnieniu jednak od epikurejskiego rozumienia tej życiowej maksymy, chrześcijańska koncentracja na teraźniejszości nie opiera się na zapomnieniu i lekkomyślności wobec konsekwencji dawnych i przyszłych decyzji i wyborów życiowych, ale na zaufaniu do Boga – jedyne Pana czasu.

Czas dla chrześcijanina to nie tylko *chronos* – ciąg upływających godzin, dni miesięcy i lat, ale to przede wszystkim *kairos*. Tym greckim słowem określa się wyjątkowe i niepowtarzalne wyzwanie chwili podarowanej przez Boga; czas łaski, owo „tu i teraz”, które jest całkowicie w naszych rękach i które możemy podjąć i zamienić w dobro. Na przeszłe wydarzenia – zarówno nieprzyjemne i bolesne, jak i cudowne i niezapomniane, ale też na to, co nadejdzie w przyszłości – czy będzie trudne i wymagające, czy też radosne i przyjemne, bądź to nie mamy już żadnego wpływu, bądź też nie możemy tego do końca przewidzieć. Ale chwila obecna jest szansą, która drugi raz się nie powtórzy. Kto w ten sposób patrzy na swoje życie, będzie widział w upływającym czasie swoją osobistą historię zbawienia. Każdy nowy dzień niesie ze sobą nową szansę, nową Bożą ofertę, którą wystarczy podjąć, aby ten konkretny i niepowtarzalny dzień był w ciągu dni, tygodni, miesięcy i lat, dniem dobrym i w najlepszym znaczeniu tego słowa udanym. Sztuka życia chrześcijańskiego polega właśnie na tym, by umieć skoncentrować się na tej Bożej szansie danej dziś, niezależnie od tego, ile takich szans w przeszłości już się przegrało i jak bardzo człowiek obawia się tego, co przyjdzie jutro.

To powiedziawszy, wypada chyba jedynie życzyć każdemu, kto będzie czytał ten felieton – wiele dobra na każdy dzień Roku Pańskiego 2017!

Luty 2017

Światła dla świata

Święto Ofiarowania Pańskiego (2 lutego), w którym symbolika światła odgrywa tak istotną rolę, zostało w ostatnich dekadach w całym Kościele powiązane z Dniem Życia Konsekrowanego. Dla człowieka wierzącego nie ulega wątpliwości, że jedynie Jezus Chrystus jest prawdziwym Światłem świata (J 8,12). Ale Jezus nie waha się w ten sam sposób mówić

także o swoich uczniach: „Wy jesteście światłem świata” (Mt 5,14). Słowo to odnosi się nie tylko i nie tyle do pojedynczych chrześcijan, którzy starają się żyć duchem ewangelicznych błogosławieństw, ile raczej do chrześcijańskich wspólnot. To one mają stać się „miastami na górze”, wspólnotami, które będą przyciągać i fascynować, aby ludzie, widząc obecne w nich dobro, chwalili Ojca w niebie.

Od IV w., a więc od czasu, kiedy Imperium Rzymskie przestało prześladować chrześcijan, a liczba wierzących zaczęła gwałtownie rosnąć, zaczęły pojawiać się próby czegoś w rodzaju „exodusu”, wyjścia ze struktur społecznych, by w gronie ludzi ogarniętych tym samym głodem za żywą Ewangelią budować nową strukturę społeczną, opartą na Jezusowych zasadach. Z racji, że chrześcijaństwo stało się religią nie tylko tolerowaną i uznaną przez państwo, ale z biegiem czasu obowiązującą i jedyną, wiele lokalnych wspólnot kościelnych utraciło ewangeliczną świeżość. To była najgłębsza przyczyna owego „wyjścia na pustynię”, by na nowo spróbować pełniej żyć Ewangelią.

Niektóre z tych prób kończyły się równie szybko, jak się zaczęły. Inne prowadziły do ostrego konfliktu z lokalną hierarchią kościelną, w efekcie którego wspólnoty odłączały się od Kościoła, ginąc z biegiem czasu jak strumienie w piaskach pustyni. Ale były i takie, które zdołały przetrwać wieki i do dzisiaj emanują niezwykłą siłą ducha. I dzieje się tak pomimo tego, że ludzie, którzy je tworzą, byli i są naznaczeni wszystkimi pęknięciami i wadami, jakie cechują wszystkie ludzkie społeczności. Żaden habit zakonny automatycznie nie wykorzenił z nikogo pychy, zazdrości, niezdrowej ambicji, nieczystej żądz, lizusostwa, krętactwa, kłamstwa i głupoty. I bywa, że te wszystkie postawy, tak radykalnie sprzeczne z duchem Ewangelii, stają się jaskrawo widoczne właśnie u kogoś, kto nosi habit osoby konsekrowanej. Wtedy spełnia się niestety smutne proroctwo Jezusa: „Jeżeli światło, które jest w tobie, jest ciemnością, jakże wielka to ciemność” (Mt 6, 23).

Przez całe wieki Kościół widział wiele takich dramatycznych zgorszeń i odejść osób konsekrowanych. Wielu wierzących porzuciło też Jezusowy Kościół ze względu na zamęt wywołany przez tych, którzy mieli być światłem dla świata. Ale byłoby wielką krzywdą i niesprawiedliwością, gdyby chcieć oceniać życie konsekrowane właśnie przez pryzmat takich negatywnych świadectw. Toną one w morzu dobra, jakie przez wieki przyniosły Kościołowi wspólnoty osób konsekrowanych oraz prorocy, mężczyźni i kobiety, jacy w nich się ujawnili. To właśnie od takich ludzi, jak Benedykt, Franciszek, Dominik, Jan od Krzyża, Teresa z Avila, Ignacy Loyola, Jan Bosko, Maksymilian Kolbe czy Matka Teresa z Kalkuty rozpoczynała się odnowa Kościoła, który nierzadko zdawał się być już niemal na krawędzi przepaści. To właśnie

w nich rozpalał się misjonarski zapał, dzięki któremu Ewangelia, przepowiadana na coraz to nowe sposoby, docierała aż na krańce świata. To właśnie w takich wspólnotach przez wieki pielęgnowało się i pielęgnuje chorych, upośledzonych i znajdujących się w jesieni życia. Tego świadectwa nie może zaciemnić żadne wykrzywione i grzeszne życie niektórych.

Warto sobie zadać pytanie, jaki byłby Kościół, gdyby Bóg nie wzbudzał w niektórych wierzących tego ducha świętego niepokoju, który każe pozostawić swoje życiowe plany i wejść wraz z innymi w osobistą konsekrację, obejmującą całego człowieka i wszystkie sfery życia. I chociaż są to ludzie grzeszni i naznaczeni słabościami, przynoszący ze sobą całą antyewangeliczną logikę, jaką rządzi się świat, to jednak Duch Boży sprawia, że w tych doprawdy glinianych naczyniach widoczny staje się duch ewangelicznych błogosławieństw. Dobrze, że jest taki dzień, który uświadamia Kościołowi ten niezwykły dar, jakim Bóg go obdarza. Dzień ten nie powinien być jednak jeszcze jedną „akademią ku czci”, wsobną celebracją, która wprowadzie z dumą patrzy na przeszłość, ale nie jest w stanie stawić czoła teraźniejszości i pokazać perspektywę na przyszłość. Zwracając się w tegorocznym Dniu Życia Konsekrowanego do osób konsekrowanych papież Franciszek mocno przestrzegał przed lęklwym odgradzaniem się od wyzwań, jakie niesie ze sobą współczesność. Ta, jak ją nazwał papież, *pokusa przetrwania sprawia, że zapominamy o łasce*. Może nas ona przemienić w *zawodowców od sacrum, ale nie w ojców, matki i braci nadziei, do której prorokowania zostaliśmy powołani*.

Marzec 2017

Nowy rodzaj sztuki: sztuka rynsztokowa

W jednym ze stołecznych teatrów wystawiona została kontrowersyjna sztuka, która wzbudziła szeroką falę protestów. Oburzenie spowodowały sceny, w których aktorzy, ucharakteryzowani na osoby pochodzące z Bliskiego Wschodu, dokonywali zbiorowego gwałtu i brutalnego mordu posługując się przedmiotami przypominającymi islamskie półksiężyce. W innej scenie jeden z aktorów podcierał się tęczową flagą, wygłaszając wulgarne komentarze na temat gejów i lesbijek, inny nawoływał do zabójstwa znanego aktywisty genderowego. Szczególne oburzenie wzbudziła scena przedstawiająca lekcję w szkole, w czasie której dwie aktywistki organizacji pozarządowych z pomocą pluszowych misiów z wyraźnie wyeksponowanymi genitaliami pokazywały dzieciom różne formy hetero- i homoseksualnego

seksu, dokładnie objaśniając jego szczegóły. Kraj zalała fala czarnych marszy, których uczestnicy wyrażali swoje oburzenie z powodu homofobii twórców i aktorów sztuki, z powodu mowy nienawiści wobec tego, co inne i odmienne oraz przepraszali wszystkich wyznawców pokojowej religii, jaką jest islam, którzy mogli poczuć się urażeni. Wystosowano petycję do Parlamentu Europejskiego, który uchwalił rezolucję domagającą się przykładowego ukarania twórców i aktorów przedstawienia, a jeżeli to się okazałoby się niewystarczające – zwolnienia dyrektora lub nawet zamknięcia teatru.....

Nie, te wydarzenia nigdy nie miały miejsca!

Wydarzyły się natomiast inne. W Teatrze Powszechnym w Warszawie wystawiono „Klątwę”, sztukę, w której podcierano się flagą Watykanu, w wielu scenach profanowano krzyż oraz uprawiano seks oralny z figurą Jana Pawła II. Środowisko twórców w ogromnej większości odniosło się do tego spektaklu z pełnym zrozumieniem milczeniem, niektórzy nawet z aprobatą. Głosy dezaprobaty były pojedyncze. Z oburzeniem natomiast przyjęto fakt, że ktokolwiek śmie poprzez protesty w mediach i pod teatrem ograniczać wolność wypowiedzi twórców. Nagranie drastycznych scen przez jednego z widzów, dzięki któremu szeroka publiczność mogła się naocznie przekonać o tym, co się tam wydarzyło, zostało ostro skrytykowane, bo przecież nagrywanie w teatrze wymaga zezwolenia. Ostatecznie dyrektor Teatru Powszechnego stwierdził, że reakcje na spektakl, który miał być przecież jedynie krytyką Kościoła katolickiego, a nie samych wierzących, pokazują brak edukacji kulturalnej i niski poziom edukacji w Polsce w ogóle.

Wobec tego, co się wydarzyło, wierzący człowiek odczuwa coś w rodzaju gniewu i bezradności jednocześnie. Nie jest to pierwszy raz, kiedy w ramach tzw. sztuki w wulgarny sposób profanowane są wartości religijne. I nie jest to pierwszy raz, gdy obiektem profanacji nie jest religia jako taka, ale zawsze jest to krzyż i wiara chrześcijańska. Wydaje się, że niektóre kręgi w środowisku ludzi kultury są opętane pragnieniem, by w wulgarny sposób szargać świętości. Musi być ordynarnie, musi padać wiele przekleństw, musi być antychrześcijańsko i musi być element wyuzdanego seksu – inaczej przedstawienie czy inny przejaw aktywności kulturalnej nie są ciekawe. To, że szeregowy katolik, słysząc o tego rodzaju „sztuce”, czuje się, jakbyś ktoś z szyderczym śmiechem napluł mu w twarz, nikogo nie obchodzi. Mamy tu do czynienia z czymś w rodzaju moralnego zdziczenia ludzi, którzy uważają, że jako twórcy kultury mają prawo aspirować do rządu dusz i być sumieniem narodu. A do tego ta nowa forma sztuki, której nie sposób określić inaczej, jak tylko sztuka rynsztokowa, jest obecnie uprawiana w

państwowych instytucjach kultury za publiczne pieniądze. Innymi słowy ktoś pluje ludziom w twarz, za oni jeszcze mu płacą.

Jaka powinna być odpowiedź na tego rodzaju wydarzenie? Zapewne każdy, kto poczuł się dotknięty uczyni to inaczej. Byli tacy, którzy zdecydowanie i głośno wyrazili swój protest pod teatrem, byli tacy, którzy uczynili to piórem, byli wreszcie i tacy, którzy zareagowali modlitwą. Jest jednak coś, nad czym każdy, kto poczuł się dotknięty, powinien się głębiej zastanowić. Sztuka żyje wtedy, gdy trafia do szerokiego grona odbiorców. Kto uważa się za człowieka otwartego na kulturę i jednocześnie za wierzącego chrześcijanina musi sobie jeszcze bardziej, niż dotychczas zdać sprawę, że jego decyzje dotyczące filmów, które ogląda, spektakli i koncertów, na które daje się zaprosić, książek, które czyta, stanowią gest poparcia dla ich twórców, a tym samym legitymizują ich poczynania. Dotyczy to nie tylko bezpośrednich twórców, ale także aktorów, którzy zgadzają się brać udział w jednoznacznie antychrześcijańskich i wulgarnych przedstawieniach lub koncertach, ale także dyrektorów placówek, które na takie przedstawienia pozwalają.

Konsumowanie przejawów sztuki rynsztokowej jest równoznaczne za oddaniem głosu poparcia, który przyczyni się do tego, że tego typu ekscesy będą się mnożyć i pozostaną bezkarne. Bojkot wobec tego rodzaju przedstawień, placówek, reżyserów, dyrektorów i aktorów jest czytelnym znakiem niezgody na zło. Nawet jeżeli wydaje nam się, że nasz pojedynczy głos niewiele może zmienić, powinniśmy decydować tak, jakby od naszego zachowania zależało to, czy tego rodzaju przedstawienia będą się pojawiać w naszych teatrach w przyszłości.

Kwiecień 2017

Klauzula sumienia dla farmaceutów

Problem respektowania sprzeciwu sumienia farmaceutów i formalnego wprowadzenia klauzuli sumienia do obowiązującego prawa powrócił w ostatnim czasie w publicznej debacie ze zdwojoną siłą. Impulsem do nowego otwarcia tej debaty były nie tylko inicjatywy zmierzające do wpisania klauzuli sumienia dla farmaceutów do prawa regulującego działalność aptek i pracę ich pracowników, ale także inicjatywa Stowarzyszenia Katolickich Farmaceutów Polski, by ułatwić kontakt między farmaceutami poszukującymi miejsc pracy, w

których będą respektowane ich przekonania, z pracodawcami, którzy gotowi są te przekonania respektować.

Inicjatywa ta spotkała się z gwałtowną krytyką ze strony środowisk promujących nieskrępowany dostęp do usług antykoncepcyjnych i aborcyjnych. Pojawiły się nawet przypadki nękania pracowników aptek Pro-Life, które deklarują, że nie prowadzą środków antykoncepcyjnych. Osoby z receptami na te środki były wysyłane do takich właśnie aptek (lub osób znanych z tego, że nie realizują tego rodzaju recept), by publicznie napiętnować taką postawę i przez to ją w przyszłości wyeliminować. Zarzuca się farmaceutom, że swoimi osobistymi (i w dodatku – religijnymi, co uchodzi za szczególnie irytujące) poglądami uniemożliwiają realizację prawa pacjentów do realizacji legalnych usług medycznych. Jeżeli sumienie nie pozwala im na sprzedaż dopuszczonych do obrotu specyfików, powinni oni – jak się im radzi – poszukać sobie innej pracy.

Już sam fakt, że w państwie prawa może istnieć taka sytuacja, że pracownik, jeśli chce zachować swoje miejsce pracy, jest zmuszany do zachowań, które kolidują z jego sumieniem, musi być uznana za alarmującą. Tym bardziej, że przedmiotem sporu nie są lekarstwa w ścisłym tego słowa znaczeniu. Sprzeciw sumienia katolickich farmaceutów wzbudzają przede wszystkim tzw. tabletki „po”, a więc preparaty, których działanie (zależnie od fazy kobiecego cyklu w momencie podania) polega na niedopuszczeniu do zagnieżdżenia embrionu w macicy, a więc na niszczeniu istoty ludzkiej w pierwszej fazie jej istnienia. Lekarstwami nie są także środki antykoncepcyjne. Warto przywołać tu opinię ginekologa, dra Rudolfa Ehmana dotyczącą tabletek antykoncepcyjnych: *Nigdy dotąd tak mocny środek farmakologiczny z tak znaczną ilością działań ubocznych nie był aplikowany bez wskazań medycznych zdrowym ludziom. Nigdy dotąd, po ujawnieniu tak licznych i tak poważnych skutków ubocznych, tego rodzaju mocny środek farmakologiczny nie był przez taki długi czas pozostawiony w obrocie, jak to ma miejsce w przypadku doustnej antykoncepcji. I nigdy dotąd środek farmaceutyczny nie przyniósł przemysłowi chemicznemu tak wysokich dochodów.*

Upraszczając nieco, można stwierdzić, że tabletki antykoncepcyjne są środkami chemicznymi, służącymi do spreparowania zdrowego organizmu kobiety zgodnie z przyjętą przez nią preferencją. Płodność nie jest chorobą i dlatego trudno nazwać czasowe obezpłodnienie mianem leczenia. Przy całej różnicy w zakresie skutków ubocznych, mentalność stojąca za stosowaniem środków antykoncepcyjnych jest podobna do tej, która rządzi stosowaniem dopingu czy też narkotyków: zdrowy organizm ma zostać spreparowany

po to, by uzyskać zamierzony cel, jakim są bądź to sportowe osiągnięcia, bądź to stan narkotycznego zamroczenia, bądź też czasowa niepłodność.

Farmaceuta nie jest powołany do tego, by być bezwolnym narzędziem w czyichkolwiek rękach, pomagającym za pomocą farmakologii w realizacji osobistych celów. Powołaniem farmaceuty jest pomoc pacjentom w zachowaniu bądź też przywróceniu zdrowia. Trudno zrozumieć, dlaczego ma on być zmuszany do działań związanych z dystrybucją takich czy innych preparatów, wytwarzanych przez firmy farmaceutyczne. Pojawiające się komentarze, jakoby Kodeks Etyki Aptekarskiej, który zawiera stwierdzenie, że aptekarz powinien działać zgodnie z sumieniem i współczesną wiedzą medyczną, był dokumentem wewnątrz korporacyjnym i nie dotyczył pacjentów, a jedynie samych aptekarzy, trzeba uznać za kuriozalne. Gdzie indziej miałyby się znajdować przestrzeń, w której farmaceuta miałby kierować się własnym sumieniem i wiedzą medyczną, jeśli nie właśnie w kontakcie z pacjentem?

Nowa odsłona konfliktu wokół klauzuli sumienia farmaceutów jest niewątpliwie związana z coraz bardziej agresywnymi próbami wymuszenia zmian w rozumieniu praw człowieka, tak by obejmowały one także tzw. „prawa reprodukcyjne” czy też prawa mniejszości seksualnych. Sukces tego rodzaju kampanii oznaczałby, że wybór niektórych zawodów przez katolików, jak np. zawodu ginekologa czy właśnie farmaceuty, byłby związany z łamaniem sumień. Tendencje tego typu ukazują bardzo niepokojący aspekt współczesnych przemian społecznych – ich coraz bardziej jawny rys totalitarny. Sprzeciw wobec tych tendencji jest dla wszystkich ceniących wolność sumienia nakazem chwili.

Maj 2017

Mędrzec

W Księdze Mądrości czytamy, że *Starość jest czcigodna nie przez długowieczność i liczbą lat się jej nie mierzy: sędziwością u ludzi jest mądrość, a miarą starości - życie nieskalane* (Mdr 4,8). Ten biblijny fragment odnoszony bywa zazwyczaj do ludzi młodych, oznaczających się szczególnymi przymiotami umysłu. W bardzo szczególny sposób odnosi się jednak także do osoby emerytowanego papieża Benedykta XVI, który w czasie tegorocznej Wielkanocy obchodził swoje dziewięćdziesiąte urodziny. Obok życzeń i serdeczności, jakie pojawiły się również w mediach, warto po raz kolejny (i z całą pewnością nie ostatni) po prostu przyjrzeć

się temu niezwykłemu człowiekowi Kościoła. Jest to osoba, w której starość, mądrość i nieskalane życie tworzą szczególnie urzekającą harmonię. Nawet ideowi przeciwnicy i krytycy nie wążą się kwestionować jego teologicznej i duchowej kompetencji. Joseph Ratzinger należy do niewielu współczesnych myślicieli katolickich, którzy łączą w sobie gruntowną wiedzę z zakresu różnych dyscyplin teologicznych z talentem pisarskim, a doświadczenie duszpasterskie z głębokim osobistym życiem duchowym. Już sama objętość serii wydawniczej *Joseph Ratzinger. Opera Omnia*, której polska edycja ukazuje się pod redakcją ks. prof. Krzysztofa Góździa w Wydawnictwie KUL w Lublinie, pozwala przeczuć rozmiary i merytoryczną wartość dorobku tego sędziwego mędrca.

Przy bliższej analizie jego drogi życiowej dostrzega się, obok wielu innych niezwykłych zalet, szczególnie jedną: wewnętrzną integralność, która umożliwia niezwykłą suwerenność w podejmowaniu istotnych decyzji, tak osobistych, jak i tych związanych z pełnionymi urzędami. Sam Ratzinger niewątpliwie nie ma natury fightera, nie należy do bojowników, którzy w emocjonalnych tyradach starają się wykazać swoje racje i kęśliwie polemizują z oponentami. Wręcz przeciwnie: zawsze sprawiał wrażenie osoby nieśmiałej, w swojej gestykulacji nawet nieco zakłopotanej. Niejednokrotnie można było odnieść wrażenie, że w sytuacjach, w których wszystkie jupitery i uwaga mediów były nań skierowane, Ratzinger czuł się mocno nieswojo i raczej tego rodzaju sytuacji unikał, ograniczając je do absolutnego minimum. A jednak mało której postaci z grona kościelnych hierarchów przyszło w ostatnich dziesięcioleciach brać udział w tak ostrych i istotnych sporach i kontrowersjach, jak właśnie jemu i mało kto zdołał stawić im czoła z taką kompetencją i suwerennością, jak właśnie on. Po powołaniu go przez 1981 r. przez Jana Pawła II na prefekta Kongregacji Nauki Wiary, Joseph Ratzinger był jednym z głównych ideowych architektów stanowiska Stolicy Apostolskiej w takich istotnych teologicznych kwestiach, jak południowoamerykańska teologia wyzwolenia, problem duszpasterstwa osób rozwiedzionych, reлектura i aktualność prawa naturalnego, stosunek do postulatów radykalnego feminizmu i genderyzmu, kwestia papieskiego prymatu czy też problematyka pluralizmu religijnego i wyłączności zbawienia w Jezusie Chrystusie.

Przemyślenia z tego czasu okazały się kluczowe dla podjęcia ostatniego wielkiego zadania jego życia – funkcji najwyższego pasterza Kościoła katolickiego. Jak owocny był ten okres widać nawet lepiej, gdy czyta się teksty Benedykta XVI z tamtego czasu z dalszej perspektywy. W kilku wywiadach-rzekach on sam potrafił spojrzeć wstecz na wydarzenia i własne decyzje z dystansem, niekiedy z dużą dozą krytycyzmu, a nawet tej odrobiny autoironii, jaka charakteryzuje ludzi naprawdę wielkich. Wyrazem integralności moralnej i suwerenności

wewnętrznej była wreszcie decyzja rezygnacji z urzędu papieskiego – ten przeprowadzony z wielkim spokojem i konsekwencją niezwykle gest, który, jak wiele wypowiedzi i posunięć Ratzingera, był ostro krytykowany przez jednych, podczas gdy u innych zaskarbił mu jeszcze większy szacunek.

Nie ulega wątpliwości, że Joseph Ratzinger zapisze się w dziejach jako jeden z najwybitniejszych teologów XX wieku, a może nawet jako jeden czołowych myślicieli katolickich w całej historii Kościoła. To, że jesień swego życia przeżywa jak kontemplatywny mnich pogłębia tylko fascynację, jaką wywołuje Ojciec Benedykt – prawdziwy współczesny chrześcijański mędrzec. Kiedy zadano mu pytanie o to, czy można przygotować się na śmierć i jak on sam to robi, odpowiedział: *Wciąż wracam myślą ku temu, że zbliża się koniec. Próbuję przygotować się do tego, a przede wszystkim trwać w obecności Boga. Najważniejsze właściwie jest nie samo wyobrażenie, lecz życie w świadomości, że cała egzystencja zmierza ku spotkaniu.*

Czerwiec 2017

Sakrament jedności

W historii Kościoła zdarzało się nieraz, że natchnienia, dane pojedynczym wierzącym, robiły niezwykłą „karierę” w Kościele. Taka jest też historia uroczystości Najświętszego Ciała i Krwi Pańskiej, czyli Bożego Ciała. Uroczystość ta jest obchodzona już przez ponad siedem wieków, a dla każdego Polaka kojarzy się ona nieodłącznie z procesją z Najświętszym Sakramentem po ulicach miast i wiosek. W pewnym sensie jest to jakaś demonstracja wiary, ale jeżeli już – to tylko w pewnym i to bardzo specyficznym sensie. Przecież nie ma tu żadnych transparentów, ani okrzyków, ani skandowania. Jest raczej publiczna adoracja i osobiste świadectwo tych, którzy na oczach innych (i wobec ich nierzadko niewybrednych komentarzy) idą za eucharystycznym Chrystusem.

Boże Ciało to jednak przede wszystkim okazja do głębszej refleksji nad znaczeniem Eucharystii. Jest ona samym sercem publicznego kultu Kościoła katolickiego i – jak czytamy w soborowej Konstytucji o Liturgii Świętej – „szczytem i źródłem” całego życia Kościoła (KL 10). Przyjmowanie Eucharystii ma przede wszystkim istotne znaczenie dla osobistej pobożności każdego katolika. Oto poprzez przystępowanie do Komunii Świętej włączam całe moje życie, moje sukcesy i porażki, w to ostateczne oddanie Jezusa Ojcu w niebie, jakie dokonało się w

Ofierze Krzyża. Oto przyjmuję Chrystusa do swojego życia i pozwalam, by było one przez Niego przemieniane.

Ten silny indywidualny rys zawsze cechował udział katolików we Mszy św. Czasami jednak sprawiał, że on, że znaczenie Eucharystii było zawężane do tej – niewątpliwie ważnej, ale nie jedynej – osobistej relacji pojedynczego wierzącego z Chrystusem. Nie jedynej, bo jest jeszcze wspólnotowy wymiar Eucharystii. Wskazuje nań Paweł, pisząc do chrześcijańskiej wspólnoty w Koryncie: *Ponieważ jeden jest chleb, przeto my, liczni, tworzymy jedno Ciało. Wszyscy bowiem bierzemy z tego samego chleba* (1 Kor 10,17). Wielu przyjmuje jeden chleb, jednego Chrystusa, który stanowi podstawę jedności głębszej, niż wszelkie inne ludzkie więzy, także więzy krwi. Ta rzeczywistość umyka uwagi wierzących, bo gdzieś na dnie naszego serca jesteśmy indywidualistami i po części – egoistami. Nie dostrzegamy, że Eucharystia tworzy z nas jedno Ciało. Ten fakt dotyczy nie tylko życia duchowego i religijnego, ale powinien mieć realne przełożenie na wszelkie relacje międzyludzkie, a zważywszy, jaki procent stanowią w Polsce katolicy, także na życie społeczne i polityczne. Nie oznacza to oczywiście i nie może oznaczać jakiejś unifikacji. Nie oznacza, że nie możemy się różnić, popierać odmienne rozwiązania polityczne, zмагаć się o to, co uważamy za właściwe, toczyć spory o kierunki rozwoju kraju. Owszem możemy, a nawet powinniśmy to czynić, jeżeli mamy pozostać uczciwymi, szczerymi ludźmi.

Jednak tam, gdzie znika ostatnia nić porozumienia., a pozostaje już jedynie niechęć, a nawet nienawiść, dążąca do zniszczenia drugiego – jeśli nie fizycznie, to przynajmniej społecznie, niszcząc jego dobre imię i posądzając o najgorsze intencje i zamiary – tam ten wspólnotowy wymiar Eucharystii zostaje podeptany. Widać to niestety w dyskusjach politycznych, w kampaniach społecznych, na forach internetowych, w pracy dziennikarzy, a nawet w prywatnych rozmowach. Stosunki społeczne w Polsce osiągnęły poziom agresji, którego do tej pory nie było. Najbardziej smutne jest to, że wśród tych, którzy się nawzajem lżą i niszczą, są także katolicy. Ci sami, którzy potem podchodzą do tego samego eucharystycznego stołu i przyjmują tego samego Jezusa. Gdy ktoś zdecydowanie odrzuca wolę pojednania i pragnie zniszczyć drugiego, a potem przyjmuje Eucharystię, postępuje tak, jakby wyrzucił świętą hostię w krzaki lub wdeptał ją w błoto ulicy. Taka postawa to jeden z najbardziej podłych rodzajów świętokradztwa.

Jeszcze bardziej szokuje, gdy tego rodzaju postawy i wypowiedzi wychodzą z ust duchownych, nawet jeżeli zostały wyrażone w prywatnej rozmowie. „Nie polemizować, zniszczyć!” – te słowa, wypowiedziane przez katolickiego kapłana, a upublicznione niedawno

w mediach, można uznać za ikonę pewnej postawy, która w drastyczny sposób przeczy temu wspólnotowemu wymiarowi Eucharystii. Trudno się dziwić, że inaczej wierzący i niewierzący nie będą skłonni do zrozumienia tajemnicy Eucharystii. Jednak wobec zaostrego się konfliktu społecznego najwyższa pora, by katolicy zdali sobie sprawę z tego, jakie zobowiązanie przyjmują na siebie, przystępując do Komunii Świętej.

Lipiec 2017

Czy świat potrzebuje globalnego rządu?

Kolejne spotkanie przedstawicieli dwudziestu najbardziej rozwiniętych gospodarek świata, jakie w pierwszym dniach lipca odbyło się w Hamburgu, może być okazją, by raz jeszcze postawić pytanie o dopuszczalność, a może nawet niezbędność czegoś na kształt światowego rządu. Spotkania tego typu jak to w Hamburgu zmierzają mniej czy bardziej do globalnego porozumienia się tych, którzy z racji potęgi gospodarczej, politycznej i militarnej – a to zazwyczaj idzie w parze – uważają, że wolno im decydować o rozwoju ludzkości na poziomie globalnym.

Trudno byłoby negować zjawisko globalizacji, częściowo postępujące niemalże automatycznie dzięki nowym technologiom komunikacyjnym, częściowo wymuszone przez powiązania gospodarcze i polityczne sojusze. Trudno jednak także nie dostrzegać wysoce problematycznej dynamiki, jaka wiąże się z władzą o zasięgu planetarnym. By się o tym przekonać, nie trzeba oglądać filmów czy też czytać czarnych utopii z gatunku science-fiction o planecie – czy nawet o całym systemie światów – zniewolonych przez samozwańczych dyktatorów. Wystarczy z jednej strony przyrzeć się rosnącej potędze organizacji pozarządowych o zasięgu globalnym, wspieranych finansowo przez najbogatszych ludzi świata i skutecznie lobbujących na rzecz kulturowej rewolucji, mającej dostosować sposób myślenia ludzi do przyjętych przez lobbystów wizji i programów. Nie jest też tajemnicą, że kierowanie światem poprzez stworzenie globalnego rządu jest jednym z głównych celów światowej masonerii. W związku z tym nie brak ostrzeżeń przed niebezpieczną formą globalnego totalitaryzmu, jaki może być wynikiem koncentracji władzy w ręku wąskiej grupy ludzi.

Z drugiej jednak strony jednak nie sposób zaprzeczyć, że z przestępczością i korupcją o zasięgu globalnym nie da się po prostu skutecznie walczyć, jeżeli działania będą ograniczały się do zasięgu lokalnego.

Stąd też nie powinien dziwić fakt, że plan stworzenia czegoś w rodzaju odpowiedzialności politycznej na poziomie światowym pojawiał się w ostatnich dziesięcioleciach także w wielu wypowiedziach ostatnich papieży. Czy jednak oznacza to, że Kościół popiera ideę rządu światowego? Taki wniosek byłby nieuprawniony, tym bardziej, że chrześcijańskie wyobrażenia, jak powinna wyglądać taka władza światowa, poważnie różnią się od tych lansowanych przez wiele współczesnych „graczy globalnych”.

Warto w tym kontekście przywołać choćby wypowiedź Benedykta XVI z encykliki „*Caritas in veritate*”: *Istnieje pilna potrzeba prawdziwej politycznej władzy światowej – nakreślonej już przez mojego Poprzednika, błogosławionego Jana XXIII – dla zarządzania ekonomią światową; dla uzdrowienia gospodarek dotkniętych kryzysem; dla zapobieżenia pogłębiania się kryzysu i wynikającego stąd zachwiania równowagi; dla przeprowadzenia właściwego, pełnego rozbrojenia oraz zagwarantowania bezpieczeństwa wyżywienia i pokoju; dla zapewnienia ochrony środowiska i regulowania ruchów migracyjnych* (nr 67). Jednak słowa te nie oznaczają jakiejś wizji globalnego rządu, który miałby oznaczać kres państw narodowych i zbudowanych w ich ramach struktur demokratycznych. Benedykt XVI dodaje: *Tego rodzaju władza musi być regulowana przez prawo, przestrzegać w sposób spójny zasady pomocniczości i solidarności, być ukierunkowana na realizację dobra wspólnego, zaangażować się w realizację autentycznego integralnego rozwoju ludzkiego, inspirowanego się wartościami miłości w prawdzie*. Słowa te wskazują na warunki absolutnie niezbędne, aby tego rodzaju światowe struktury polityczne nie stały się totalitarnymi instrumentami wcielającymi w życie polityczno-kulturowe projekty współczesnych inżynierów społecznych. Trudno więc przywoływać papieskie cytaty na poparcie mocno zideologizowanych wizji, o których od czasu do czasu głośno jest w dyskursie społecznym. Doświadczenie korupcji i mafijnych powiązań między władzą a biznesem, które na poziomie lokalnym (narodowym) potrafią pustoszyć całe państwa, sprawia, że do takich projektów trzeba podchodzić z dużą dozą rezerwy, gdyż globalne konsekwencje tego rodzaju wynaturzeń byłyby trudne do wyobrażenia. Na razie więc pozostaje pilna potrzeba koordynacji działań i współpracy między suwerennymi państwami narodowymi. Plany powołania rządu światowego nie wydają się jeszcze dojrzałe. A co ważniejsze – bezpieczne.

Sierpień 2017

„Choruje ktoś pośród was? Niech sprowadzi kapłanów” (Jk 5,14)

Wydana w czerwcu 2017 r. przez Konferencję Episkopatu Polski *Instrukcja dotycząca posługiwania chorym i umierającym* umknęła zupełnie uwagi mediów. Bo też coś może być interesującego w cichej postudze wobec osób, które z racji swojego stanu zdrowia nie są w stanie czynnie uczestniczyć w życiu publicznym? Ciężko chorzy i umierający stają się obiektem uwagi mediów dopiero wtedy, gdy głośno domagają się eutanazji. Bardzo szybko stają się wtedy ikonami środowisk domagających się depenalizacji, a potem zalegalizowania śmierci na życzenie, jak to ma miejsce w niektórych krajach europejskich. Kiedy jednak z odwagą i cierpliwością znoszą swoją życiową kondycję, przestają być medialnie interesujący. Trudno się dziwić, że oprócz dotkliwych nierzadko objawów choroby osoby takie najbardziej dotkliwie odczuwają poczucie osamotnienia, wręcz wypchnięcia na margines społeczeństwa.

Chociaż instrukcja KEP nie przynosi żadnych rewolucyjnych zmian w zakresie duszpasterstwa chorych i umierających, przypominając jedynie dotychczasowe kościelne przepisy, warto zwrócić uwagę na ten dokument.

Podkreśla się w nim, że celem, do którego należy dążyć, jest to, aby chorzy i umierający otrzymywali *to wszystko, co ich zdrowi bracia i siostry otrzymują w ramach zwyczajnego duszpasterstwa* (nr 6). Chodzi o to, by posługi chorym nie traktować jako dodatkowego i ponadwymiarowego zadania duszpasterskiego, z którego w razie potrzeby można zrezygnować na rzecz, jak by się mogło wydawać, ważniejszych akcji i działań duszpasterskich. Przyjęcie takiego sposobu myślenia byłoby formą takiego samego wykluczenia i wypchnięcia na margines całej grupy wiernych, jak to ma miejsce w przestrzeni medialnej

Regularne odwiedziny duszpasterza powinny należeć do normalnych zadań duszpasterskich. Jak czytamy w instrukcji, taki zwyczaj może przyczynić się także do tego, że odwiedziny kapłana nie będą się natychmiast kojarzyć ze zbliżającą się śmiercią, co może mieć miejsce wtedy, gdy kapłan jest wzywany dopiero wtedy, kiedy „jest już naprawdę źle”.

W dokumencie wspomniano także kwestię, która dotyczy nie tylko chorych i umierających, ale także osób, które dzisiaj cieszą się jeszcze dobrym zdrowiem. Biskupi zachęcają mianowicie do noszenia przy sobie oświadczenia z prośbą o wezwanie księdza w razie wypadku lub zagrożenia życia. Ten bardzo dobry zwyczaj jest swego rodzaju wyznaniem wiary i sprawia, że człowiek cieszący się znakomitą zdrowiem chociaż przez moment zda sobie sprawę z tego, że w jednej chwili może znaleźć się w sytuacji zagrożenia życia i zapragnie pomocy duchowej na tę hipotetyczną chwilę.

Dla kapłanów może być interesująca znajdująca się w instrukcji wzmianka o tym, że sakramentu chorych i innych sakramentów nigdy nie udziela się warunkowo. Ten zwyczaj był w przeszłości praktykowany wtedy, gdy kapłani, pamiętając o tym, że sakramentów nie wolno udzielać osobom zmarłym, a chcąc mimo to udzielić posługi sakramentalnej osobom, co do których stanu nie było pewności, dodawali do formuł rozgrzeszenia lub namaszczenia chorych warunkowe określenie „Jeżeli żyjesz....”. Aby udzielić pomocy sakramentalnej wystarczy dziś moralna pewność, że chory jeszcze żyje.

Dokument zawiera jeszcze jedno wskazanie, które może stanowić wyzwanie – tym razem dla rodziny i najbliższego otoczenia chorego: *Przed wszystkim do członków rodziny i opiekunów chorego należy powiadomienie chorego o zbliżającej się śmierci, aby sam poprosił o wiatyk i w czasie jego obrzędu odnowił wyznanie wiary.* To zadanie może być niełatwe, zważywszy, że najbliższe otoczenie samo musi sobie poradzić z perspektywą rozstania z najbliższą, niejednokrotnie ukochaną osobą. Wyzwanie to dotyczy całej sfery komunikacji, jak się ją określa, „przy łóżku chorego”. Wymaga ona wprawdzie wielkiej delikatności, umiejętności dawkania złych wiadomości i wielkiej empatii. Jednocześnie jednak trzeba stwierdzić, że nie powinna się ona nigdy opierać na nieprawdzie, czynieniu fałszywych nadziei lub też unikaniu za wszelką cenę informacji o niepomyślnej diagnozie i tematu śmierci. Dzięki temu chorzy i umierający będą mogli przyjmować pomoc sakramentalną w sposób, w jaki sakramenty powinny być przyjmowane: świadomie i w oparciu o wyrażoną przez samego chorego prośbę. Wtedy też przyniosą one tak przecież niezbędny w sytuacji choroby błogosławiony duchowy owoc.

Wrzesień 2017

Synowskie napomnienie

Już w czasach Jana Pawła II pojawiały się od czasu do czasu skierowane publiczne do papieża listy i memoranda. Były to zazwyczaj wezwania, by zrewidować niektóre przekonania katolickiej moralności, czy też zdemokratyzować sposób wybierania biskupów, jak to było np. w przypadku podpisanej w 1989 r. przez 220 teologów tzw. Deklaracji Kolońskiej (*Kölner Erklärung*). Odezwy te pochodziły w większości ze środowisk krytycznych wobec zbyt zachowawczej, ich zdaniem, postawy papieża oraz niechęci Stolicy Apostolskiej, by reformować Kościół zgodnie z postulatami sygnatariuszy. Na pierwszy rzut oka więc

„Synowskie napomnienie”, które zostało w lipcu 2017 r. skierowane do papieża Franciszka przez 62 teologów i kapłanów nie było niczym aż tak nadzwyczajnym. Mimo to list ten jest odmienny od dotychczasowych odezw i interwencji.

Jak deklarują sygnatariusze, list został upubliczniony w dwa miesiące później dlatego, że papież Franciszek pominął milczeniem wszelkie dotychczasowe próby interwencji w celu wyjaśnienia dwuznaczności związanych z publikacją w 2016 r. adhortacji *Amoris laetitia*. Sygnatariusze listu podkreślają swoje oddanie Następcy św. Piotra, co ujawnia się już w wyborze tytułu: synowie, zaniepokojeni zamętem w Kościele, zwracają się do tego, który zgodnie z nauczaniem Kościoła, został ustanowiony, aby „umacniać braci w wierze” (Łk 22, 32). Zaznaczają jednocześnie, że w żadnym wypadku nie mają zamiaru ani tytułu, by oskarżać papieża o popełnienie formalnej herezji. Ich list nie oznacza też kwestionowania wiary w charyzmat Następcy św. Piotra. Głęboki niepokój budzi jednak to, że dwuznaczność papieskich wypowiedzi, ale także brak reakcji na niezgodne z dotychczasową nauką Kościoła interpretacje adhortacji *Amoris laetitia*, doprowadzają do szerzenia się w Kościele heretyckich poglądów.

Wymienione przez sygnatariuszy siedem kwestii problemowych dotyczy istotnych kwestii wiary chrześcijańskiej: nauki o łasce uświęcającej, rozumienia grzechu ciężkiego, jego odpuszczenia w sakramencie pokuty i dopuszczenia grzesznika do udziału w Eucharystii. W tle znajdują się oczywiście sporne sugestie zawarte w adhortacji *Amoris laetitia*, zgodnie z którymi osoba rozwiedziona pozostająca w nowym związku, nie w każdym przypadku popełnia grzech śmiertelny, który pozbawia ją Bożej łaski.

Można oczywiście postawić pytanie, czy upublicznienie tego niezwykle w swojej formie protestu rzeczywiście służy Kościołowi? Pokaże to przyszłość, jedno jednak pozostaje niewątpliwe: wielu wiernych, którzy uważnie śledzą życie Kościoła, odczuwa wielki dyskomfort i niepokój, a niekiedy także głęboką konfuzję w związku z reperkusjami opublikowania adhortacji *Amoris laetitia*. Wbrew pozorom wiara katolicka nie jest wiarą ślepą, nie jest nią także właściwie rozumiana wiara w Kościół jako społeczność prowadzoną przez Ducha Świętego, działającego poprzez każdego wierzącego, a przede wszystkim poprzez ustanowionych pasterzy na czele z następcą Piotra. Katolik, który chce wierzyć, chce także rozumieć. Jak to już w XI w. powiedział za św. Augustynem jeden z wielkich filozofów i teologów tamtego czasu – Anzelm z Canterbury, wiara katolicka jest wiarą poszukującą zrozumienia (*fides quaerens intellectum*). To pragnienie zrozumienia dotyczy w tym wypadku ciągłości nauczania Magisterium Kościoła i znaczenia podstawowych prawd wiary i moralności dotyczących małżeństwa i rodziny.

Jak można było oczekiwać, list spotkał się z mieszanymi reakcjami, od poparcia poprzez lekceważenie, aż po oskarżenie o pogardę wobec ducha Soboru Watykańskiego II. Nie da się ukryć, że sposób argumentacji, dobór cytatów (w większości przedsoborowych), ale przede wszystkim długie i w sumie niepotrzebne, zajmujące prawie połowę tekstu listu wywody dotyczące zagrożeń płynących z ducha modernizmu oraz rzekomej bliskości wypowiedzi papieskich z tezami Marcina Lutra, raczej osłabiają jego wymowę, niż uzasadniają wysuwane zarzuty. Generalnie jednak można powiedzieć, że sygnatariusze listu w ten niezwykle bolesny i spektakularny sposób skorzystali z prawa, jakie daje wszystkim wierzącym Kodeks Prawa Kanonicznego. Zgodnie z nim, *stosownie do posiadanej wiedzy, kompetencji i zdolności, jakie posiadają, przysługuje im prawo, a niekiedy nawet obowiązek wyjawiania swojego zdania świętym pasterzom w sprawach dotyczących dobra Kościoła, oraz - zachowując nienaruszalność wiary i obyczajów, szacunek wobec pasterzy, biorąc pod uwagę wspólny pożytek i godność osoby - podawania go do wiadomości innym wiernym* (KPK kan. 212, 3). Tak czy inaczej, kontrowersja ta nie dotyczy spraw drugorzędnych, ale istotnych pytań wiary i moralności katolickiej i dlatego musi być rozwiązana. Kościół ma swoje długie doświadczenie radzenia sobie z sytuacjami konfliktów dotyczących spraw fundamentalnych. Dobro wiernych wymaga, aby wymienione w liście sporne kwestie stały się jak najszybciej przedmiotem głębokiej i cierpliwej dyskusji.

Październik 2017

Do granic

Dla jednych modlitwa różańcowa, w której w całej Polsce uczestniczyło około milion osób była akcją sięgającą do granic absurdu. Dla wierzących było to wyjście w przestrzeń publiczną z przestaniem zaufania wobec Boga i powierzenia się wstawiennictwu Maryi. Akcja „Różaniec do Granic” zorganizowana przez Fundację „Solo Dios Basta” przy poparciu polskich biskupów niewątpliwie poruszyła opinię publiczną, nie tylko w Polsce. Warto zwrócić uwagę na kilka jej wymiarów.

Była to inicjatywa, którą w pełnym tego słowa znaczeniu można nazwać oddolną – zaproponowana i kierowana przez świeckich katolików, świadomych swojej wiary i odpowiedzialności za głoszenie Ewangelii. Tym, co ją wyróżnia spośród innych tego rodzaju inicjatyw było pełne poparcie ze strony polskiego episkopatu. Ostatecznie była to więc

inicjatywa całego Kościoła w Polsce, która stała się przykładem udanej i owocnej współpracy między świeckimi i pasterzami.

Rozmiary uczestnictwa w „Różańcu do Granic” zaskoczyły zapewne nawet samych organizatorów, ale musiały też poważnie zaniepokoić krytyków. Okazało się bowiem, że w polskim Kościele, mimo agresywnej promocji stylu życia „jakby Boga nie było”, istnieje ogromna rzesza katolików świadomych swojej wiary i nie wstydzących się wyznawania jej wobec świata. Modlitwa różańcowa setek tysięcy ludzi była jednym z tych momentów w najnowszej historii Polski, które pozwoliły doświadczyć niezwykłego poczucia wspólnoty. W odróżnieniu jednak od innych momentów, tym razem nie chodziło o reakcję na tragiczne wydarzenia, jak np. śmierć Jana Pawła II czy też katastrofa smoleńska, ale o wspólnotę modlitwy zawiązaną w samym środku codzienności, bez związku z jakimś wstrząsającym wydarzeniem.

„Różaniec Do Granic” nie był oczywiście jedynie jakimś religijnym happeningiem. Nawiązania z jednej strony do liturgicznego wspomnienia Matki Bożej Różańcowej, a tym samym do zwycięstwa odniesionego w 1571 r. nad zagrażającą chrześcijańskiej Europie flotą Imperium Osmańskiego, a z drugiej do setnej rocznicy objawień w Fatimie, sprawiają, że ta masowa wspólna modlitwa stała się wyrazem żarliwego pragnienia odnowionego głoszenia świata Ewangelii i uchronienia go przed ateizacją.

W tym sensie „Różaniec Do Granic” stał się rzeczywiście mocnym wyrazem odmiennego od dominującego w obszarze europejskich i światowych elit pomysłu na kształt społeczeństwa. W ramach tego forsowanego także przez największe ponadnarodowe organizacje projektu reedukacji społeczeństw wiara w Boga jest jedynie czymś prywatnym, czymś, co wstydliwie należy ukrywać i co w żaden sposób nie może mieć wpływu na stanowione prawo i ogólnospołeczne standardy moralne. Przestrzeń publiczna ma być „neutralna”, co w praktyce oznacza – ateistyczna. Każda inicjatywa ludzi wierzących w przestrzeni publicznej jest traktowana z wielką podejrzliwością, a im jest silniejsza, z tym większą wrogością jest zwalczana. Tymczasem wierzący chcą jedynie tego, do czego mają przecież prawo na równi ze wszystkimi inaczej myślącymi: chcą w dyskusji na temat kształtu świata, Europy i Polski być traktowani poważnie wraz ze swoimi przekonaniem oraz swoją zbudowaną w oparciu o wiarę kulturą i tożsamością; chcą mieć taki sam wpływ na życie społeczne, stanowienie prawa i życie publiczne, jaki mają inni.

Wśród komentarzy, jakie pojawiły się po „Różańcu Do Granic” były także takie, które wyrażały poczucie wstydu i zażenowania wobec stopnia rzekomego zacofania i zaściankowości

setek tysięcy wierzących Polaków. Poza brakiem taktu i podstawowej tolerancji wobec inaczej wierzących tego rodzaju komentarze ujawniają głębokie kompleksy, jakie wyrażający je mają wobec europejskiego i światowego laickiego establishmentu.

Kiedy ogląda się zdjęcia rozmodlonych tłumów podczas „Różańca Do Granic” przychodzi na myśl pewna scena ze starotestamentalnej Księgi Jozuego. W jednym z decydujących dla historii narodu wybranych momentów Jozue zwraca się do zgromadzonych współziomków z niezwykle apelem: każe im mianowicie dokonać jasnego wyboru między bogami obcymi a wiarą w Jahwe – Boga Izraela: *Gdyby jednak wam się nie podobało służyć Panu, rozstrzygnijcie dziś, komu służyć chcecie, czy bóstwom, którym służyli wasi przodkowie po drugiej stronie Rzeki, czy też bóstwom Amorytów, w których kraju zamieszkaliście.* On sam składa przy tym jasną deklarację: *Ja sam i mój dom służyć chcemy Panu*” (Joz 24, 15).

Listopad 2017

Zgorszenie i głupstwo krzyża

Pisząc swój okólny list do wspólnoty w Koryncie zaledwie kilka dziesięcioleci po śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa, św. Paweł nie mógł przewidzieć, jak bardzo aktualne staną się jego słowa niemal dwadzieścia jeden wieków później. Wobec swoich adresatów Paweł deklaruje jasno: [...] my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan” (1 Kor 1, 23). Chociaż współczesny kontekst jest zupełnie inny, reakcje pozostają bardzo podobne: krzyż Chrystusa nie przestaje być zgorszeniem dla jednych i głupstwem dla innych.

Każdy, kto przyzwyczajony jest do widoku przydrożnych kapliczek i krzyży na rozstajach dróg i górskich szczytach, musi przecierać ze zdumienia oczy, czytając o wyroku francuskiej Rady Stanu, najwyższego organu tamtejszego sądownictwa administracyjnego, która nakazała usunięcie krzyża z pomnika Jana Pawła II. Został on określony jako „ostentacyjny symbol religijny”, który rzekomo narusza zasadę neutralności państwa, gdyż pomnik ustawiony został na państwowym gruncie.

Sytuacja rzeczywiście przypomina próbę ocenzurowania pomnika, jak to trafnie określiła polska premier Beata Szydło. Skojarzenia nasuwają się same: w czasach stanu wojennego cenzura komunistyczna zakazywała publikacji niektórych artykułów w prasie. Niezależni wydawcy wydawali zatem gazety, które zawierały całe niezadrukowane strony,

opatrzone jedynie niewielką, umiejscowioną na samym środku pustej strony notatką: [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 1 października 1981 r.]. W świecie wolnego Internetu wyrok francuskiego trybunału, opierający się na ustawie o rozdziale Kościoła od państwa z 1905 r., naznaczony jest jakimś niezrozumiałym anachronizmem, tym bardziej dziwnym, że dokonany w imieniu państwa, które mieni się być liderem demokracji i wolności w Europie i poza nią.

Nie chodzi tu oczywiście jedynie o taki czy inny pomnik, ale o samo rozumienie światopoglądowej neutralności państwa. Spór toczący się wokół tej kwestii jest sporem absolutnie podstawowym, dotyczącym także przyszłego kształtu Europy. Trudno postrzegać sprzeciw wobec obecności krzyża w przestrzeni publicznej jako wyraz troski o jej neutralność. Jest to raczej próba jej zawłaszczenia dla jednej opcji światopoglądowej, mianowicie dla praktycznego ateizmu, charakterystycznego nie tylko dla zdeklarowanych ateistów, ale także dla agnostyków. Niezależnie bowiem od tego, czy ktoś zdecydowanie wierzy (paradoksalnie to też jest forma „wiary”!), że Bóg nie istnieje, czy też po prostu nie przywiązuje do tej kwestii żadnego znaczenia i nie zadaje sobie tego pytania, jedno łączy te dwie opcje: brak odniesienia do Boga w indywidualnej i społecznej codzienności. Przestrzeń społeczna, z której muszą zniknąć krzyże i inne znaki religijne, nie stanie się przez to neutralna, ale stanie się właśnie przestrzenią ateistyczno-agnostyczną. Będzie to *ich* przestrzeń, w której będą mogli czuć się u siebie, podczas gdy wierzący zostaną wypchnięci do sfery prywatnej. To nie byłaby w żadnym razie neutralność, ale zawłaszczenie.

Scenariusz takiego zawłaszczenia, nie tylko w tym przypadku, ale w wielu innych przypadkach procesów o krzyż, był i jest zawsze taki sam: znikoma mniejszość, nawet pojedyncze osoby czy też organizacje laickie i antyreligijne, występują ze skargą do sądu, że obecność krzyża w budynkach, szkołach lub na placach narusza ich swobody i prawa. W wielu krajach skargi te są rozpatrywane odmownie, a sądy wskazują na to, że krzyż jest znakiem nie tylko wiary chrześcijańskiej, ale także systemu wartości opartego o szacunek dla osoby i gotową do poświęceń miłość oraz znakiem zbudowanej na tych wartościach kultury, która przez wieki kształtowała oblicze zachodniego świata. Przez ostatnie stulecie, ale w rzeczywistości już wskutek porewolucyjnej niechęci, a nawet nienawiści do chrześcijaństwa, Francja próbuje budować społeczną etykę i kulturę wypraną z religii, szczególnie chrześcijańskiej, bo publiczne modlitwy w zamieszkałych w większości przez muzułmanów dzielnicach miast, w trakcie których zatarasowane są drogi przejazdowe, jakoś laickości państwa nie naruszają.

Tym, co w tej sytuacji napawa optymizmem, jest nie tylko postawa lokalnych władz, które sprzeciwiają się nakazowi usunięcia krzyża z pomnika Jana Pawła II, ale także reakcja innych państw i środowisk europejskich (w tym Polski), które nie widzą w obecności krzyża zamachu na państwo. A chrześcijanie? Powinni w tej sytuacji z dumą i zdecydowaniem powtórzyć za Pawłem: „Nie daj Boże, bym się miał chlubić z czego innego, jak tylko z krzyża Pana naszego Jezusa Chrystusa” (Ga 6, 14).

Grudzień 2017

Gdzie jest cudowny świat szacunku wobec kobiet?

Skandale seksualne nie są niczym nowym. Jednak ujawniane w ostatnich miesiącach przypadki molestowania seksualnego w kraju (jak np. te popełnione przez dziennikarzy „Gazety Wyborczej” i „Krytyki Politycznej”) i za granicą (np. te, których dopuścił się jeden z najbardziej wpływowych hollywoodzkich producentów filmowych Harvey Weinstein) mają w sobie coś szczególnego. Otóż tym razem wulgarne i pozbawione szacunku wypowiedzi, niedwuznaczne gesty, a nawet czynne napaści, aż po wymuszanie aktów seksualnych i gwałty, dotyczą środowisk, które słyną ze swobody obyczajów dotyczących sfery seksualnej. Z jednej strony szczycą się one, że pozbyły się niepotrzebnych a nawet szkodliwych blokad i są wyzwolone od jakiegokolwiek formy opresyjnej, bo zbudowanej na nakazach i zakazach chrześcijańskiej moralności, z drugiej natomiast środowiska te wypisały na swoich sztandarach postulaty szacunku dla wolności i godności kobiety jako swój znak rozpoznawczy. Jak twierdzą ich przedstawiciele, źródłem ataków na kobiety jest tradycyjna moralność z jej postulatami wychowania młodzieży do panowania nad popędem seksualnym i wierności małżeńskiej. Ten model wychowania skutkuje rzekomo nie tylko brakiem dostatecznej wiedzy o seksie, ale także nieracjonalnymi i szkodliwymi ograniczeniami sfery seksualnej, które stanowią mentalną i społeczną przeszkodę w swobodnym z niej korzystaniu. Jeżeli ta diagnoza miałaby być prawdziwa, to skąd akty seksualnej agresji wobec kobiet właśnie tam, gdzie od dawna już żyje się zgodnie z nowym, liberalnym podejściem do sfery seksualnej?

Głębokim korzeniem ataków seksualnych nie jest bynajmniej, jak się okazało, ideowa przynależność do obozu krytykującego postulaty środowisk feministycznych i opowiadającego się za tradycyjnym modelem małżeństwa i relacji między kobietami i mężczyznami. Jest nim raczej przedmiotowe traktowanie kobiet, kobiecości i sfery seksualnej, postrzeganie ich w

kategoriach towaru czy usługi. Właśnie takie podejście, promowane przez liberalne media, stanowi współczesny dominujący kontekst, kształtujący umysły i mentalność społeczeństw na skalę globalną. Męska przemoc seksualna wobec kobiet rozpoczyna się i dojrzewa w świecie męskich myśli i pragnień seksualnych, rozbudzanych i kształtowanych od dzieciństwa.

Ciekawe, że właśnie w tym obszarze chrześcijańska tradycja stawia niezwykle trafną diagnozę. W tekście stanowiącym coś w rodzaju kompendium nauki Jezusa, jakim jest tzw. Kazanie na Górze (rozdziały 5, 6 i 7 Ewangelii Mateuszowej), wskazuje On w dosyć drastycznych słowach na konieczność kształtowania czystego spojrzenia: *Słyszeliście, że powiedziano: Nie cudzołóż! A Ja wam powiadam: Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa. Jeśli więc prawe twoje oko jest ci powodem do grzechu, wyłup je i odrzuć od siebie. Lepiej bowiem jest dla ciebie, gdy zginie jeden z twoich członków, niż żeby całe twoje ciało miało być wrzucone do piekła. I jeśli prawa twoja ręka jest ci powodem do grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie* (Mt 5, 27-30a). Te drastyczne metafory nie dotyczą wprawdzie sytuacji przemocy seksualnej, mają być jednak obrazem determinacji, która jest konieczna, by nie wytworzyć w sobie wykrzywionego podejścia do sfery seksualnej. Przemoc seksualna wobec kobiet rodzi się w świecie fantazji erotycznych, budowanych na obrazach, w których kobieta traktowana jest jako przedmiot, który może być w dowolny sposób używany, tak jak się używa rzeczy. Dzieje się to wprawdzie w intymnej sferze męskiego serca i przez długi czas może być skrywane za nieskazitelną zewnętrzną postawą wobec kobiet. Jednak w niektórych, jak się okazuje wcale nierzadkich przypadkach, stosowna sytuacja gwałtownie ujawnia to, co od dawna dzieje się we wnętrzu ludzkiego serca. Przypomina się w tym miejscu stare porzekadło: „Co pomyślisz dzisiaj, powiesz jutro, a zrobisz pojutrze”.

Nie sposób nie zadać krytycznego pytania, czy należy dziwić się aktom przemocy seksualnej wobec kobiet, gdy w sieci funkcjonuje kilka milionów stron pornograficznych? Tym bardziej zdumiewa fakt, że kampania internetowa #Me Too, w ramach której gromadzone są skargi kobiet na akty seksualnego molestowania, jest promowana przez te same środowiska, które zaciekle walczą z wszelkimi programami wychowania dzieci i młodzieży do czystości i promują nieoparte na wartościach, czysto funkcjonalne podejście do sfery seksualnej. Kiedy promotorami akcji sprzeciwu wobec molestowania seksualnego kobiet stają się inne kobiety, które ze swej strony nie unikają rozbieranych sesji dla popularnych magazynów dla panów i kreują się na symbole swobody seksualnej, nie można się oprzeć wrażeniu głębokiej sprzeczności.

Każda forma przemocy seksualnej wobec kobiet musi być zdecydowanie potępiona. Tak samo zdecydowanie należy jednak potępić także zatrute źródła, które tworzą mentalność sprzyjającą traktowaniu kobiet jak rzeczy.

Ks. Marian Machinek MSF